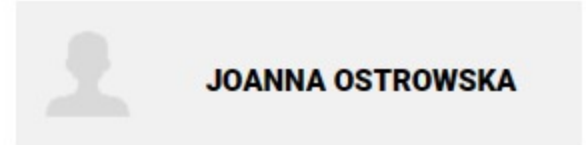


Jesteś tutaj: [Strona główna](#) | [Recenzje](#) | [Koniugacja, która uspokaja](#)

## Koniugacja, która uspokaja

*Moja mama leczy się u doktora Oetkera*, reż. Wojtek Klemm, Teatr Współczesny w Szczecinie

JOANNA OSTROWSKA

Doktor habilitowana kulturoznawstwa, adiunkt w Zakładzie Performatyki Instytutu

A A A



Fot. Piotr Nykowski

**W Warszawie na Marchlewskiego niedaleko rogu ze Świerczewskiego była lodziarnia dra Oetkera. Osiadła dni drugiej połowy lat osiemdziesiątych wielu warszawiakom, zawsze stały do niej długie kolejki. W lodziarni były lody w wielu smakach, często egzotycznych – takich, jakich nigdzie indziej nie było. To miejsce było lekarstwem na depresyjną rzeczywistość tamtej epoki, świadectwem, że gdzie indziej jest inaczej – lepiej, smaczniej, bardziej różnorodnie. Nasza rzeczywistość była depresyjna, ale przecież nie wyłącznie – śmiałyśmy się, bawiliśmy, a czasem poprawialiśmy sobie humor lodami.**

Hasło „dr Oetker” wcale nie kojarzy mi się w pierwszym rzędzie z proskami do pieczenia, ale z tamtym miejscem i tamtym światem, w którym dorastałam. Jego obraz wrócił do mnie bardzo wyraziście, kiedy w mieście oddalonym o setki kilometrów i kilkadziesiąt lat oglądałam *Moja mama leczy się u doktora Oetkera* pilgrima / majewskiego w reżyserii Wojtka Klemma. Stało się tak nie tylko za sprawą samego tytułu, lecz także estetyki szczecińskiego przedstawienia i sposobu, w jaki rozpoczyna się spektaklowa narracja. Postacie nazwane bardzo prosto – ja, ty, on, ona, my, wy, one – wywołują ze swojej pamięci świat, a ta ich pamięć podpowiada obrazy opisujące świat bliski także i mnie. Ja (Robert Gondek) – mężczyzna co najmniej w sile wieku – wspomina, jak było, kiedy był młodszy: gdzie był sklep, kino, szkoła. Słowami wydobywa z nicości świat swojego dzieciństwa. Te jego słowa wsparte są tekstem piosenki z filmu znanego chyba wszystkim czterdziestoparolatkom – *Akademii Pana Kleksa*: „dzisiaj gdy przymkniesz oczy/ na szarym pamięci tle/ wśród wyblakłych przeźroczy/ zobaczysz właśnie mnie./ Jestem twoją bajką,/ jestem bajką z twego snu”. Te pierwsze budowane obrazem i słowem sceny brzmią tak, jakby ich wypływanie z Ja wynikało z nostalgii za tym, co było – za Ja, który żył lepiej. Być może gdzieś tam głęboko ich podłożem jest nostalgia za sobą samym i innym światem. Jednak *Moja mama...* to nie wyłącznie seans pamięci, powrót do sielskiej krainy dzieciństwa – „bajki z twego snu”, słowa nie są „echem dziecięcych lat”. Pamięć tego, co było, ma działać na Ja jak kotwica unocowująca go w świecie, który nie cały był smutkiem; jak kotwica, która nie pozwala obsunąć się w ciemność.

Ja na scenie jest niemal cały czas w towarzystwie innych – Ty (Arkadiusz Buszko) i On (Jacek Piątkowski) wydają się jakby innymi, możliwymi wariantami Ja. Niby mają te same wspomnienia, ale zachowują się jakby inaczej. Powtarzają, jak w scenie urodzin, te same słowa, ale czy czują to samo? Ona (Barbara Lewandowska) to bliska Ja, One (Maria Dąbrowska) – wszystkie inne. My (Wojciech Sandach) i Wy (Michał Lewandowski) to inni, którzy nie są w stanie przedostać się do wnętrza świata Ja. Wszystkie postacie mają kolorowe kostiumy w wyrazistych barwach. Mnie ich stroje kojarzyły się z ubraniami z Hofflandu, więc odsyłały do czasów „wtedy”, gdy świat Ja wydawał się przyjazny i znany. Te stroje, piosenka sprawiają wrażenie, jakby inne postacie starały się zainscenizować dla Ja świat, którego już nie ma, a w którym Ja czuł się bezpieczny i szczęśliwy.

W jednej z pierwszych scen po scenie chodzą chaotycznie wszystkie postaci, lecz zamiast głów mają na ramionach tekturowe domy. Taki sam dom, tyle że dużo większy, stanowi główną część scenografii. Jest jak rysunki dziecięce – prosty, schematyczny, przywołujący poczucie bezpieczeństwa miejsca. Równocześnie jednak jego tekturowość przypomina o tym, iż ochrona, jaką daje, jest dość iluzoryczna. Dlatego w pewnym momencie dwie ściany domu opadają na boki, ukazując chaos w jego wnętrzu, by pod koniec dom sam niemal stanął na głowie, unaczynając odwrócenie perspektywy życia głównego bohatera – takiego, w którym nawet będąc wybitną jednostką (wyznaczając kursora na przykład), można być nieszczęśliwym.

Dom i głowa to dwa wymiary, w jakich rozgrywa się spektakl Klemma, przy czym nigdy do końca nie można być pewnym, który z nich akurat oglądamy. Czy to, co widać, to świat-zewnątrz, postrzegany i dostrzegany przez tych, którzy są dookoła Ja, czy raczej świat widziany oczami Ja – świat, który wydaje się wyłącznie przygnębiający i depresyjny. To, że ze sposobem, w jaki Ja widzi świat, jest coś nie tak, wiadomo już od pierwszej sceny, kiedy deklaruje, że lubi koniugację i natychmiast zaczyna koniugować. Koniugacja ustawia relację z innymi, pozwala przekonać się, że coś ja z nimi łączy, słowa wydają się jedynym elementem budowania wspólnego świata. Ponieważ Ja w wykonaniu Gondka jest wyobcowany, to znaczy wydaje się w żaden sposób nie reagować na to, co dookoła się dzieje – pozostaje równie obojętny zarówno na próby rozweselenia go, jak i na wyrzuty. Równocześnie powoli odkrywa się spod tej rekonstrukcji pamięci o przeszłości choroba Ja – czarny tunel smutku. Okazuje się, że Ja boi się, że – podobnie jak jego mama – jest chory, chory na chorobę, której nie widać, która dla otoczenia nie daje „obiektywnych” symptomów. Obiektywnie jest fajnie, wszyscy się starają, więc skąd zle samopoczucie? Otoczenie wypiera stan Ja: twierdzi, iż wmawia on sobie chorobę, bo stany psychiczne nie są przecież zaraźliwe. To rozdarcie osób z otoczenia Ja jest widoczne przez cały spektakl. Z jednej strony chcą udzielić mu wsparcia, z drugiej, nie widząc skutków swoich działań, negują istnienie samej choroby. Kluczowe są tu dwie sceny – urodzin, gdzie profesjonalni rozbawiacze nie są w stanie długo wytrącić Ja z jego stuporu, a kiedy wreszcie przełamują obojętność, Ja wybucha agresją. W tej scenie pojawia się także owo potencjalne rozstrojenie Ja na Ty i On, kiedy wszyscy trzej siedzą przy stole równie nieruchomi i wyobcowani z ogólnej zabawy. Drugim takim fragmentem jest parafraza sceny z *Króla Leara*, w której Kordelia niewystarczająco zapewnia o swojej miłości do ojca. Tu Ona odpowiada Ja słynnym tekstem, że kocha tyle, ile córka kochać powinna, lecz sens tej sceny jest całkiem inny niż u Szekspira. Ona wykrzykuje swój tekst z desperacją wynikającą z niemocy, niemożliwości przekonania Ja-ojca, że tak właśnie wygląda wystarczająca miłość córczana. Scena z Ona-Kordelią nie jest licytacją na miłość do ojca, ale beznadziejną, desperacką próbą znalezienia sprawy, która będzie zdolna utrzymać Ja przy życiu. To próba, która jest skazana na niepowodzenie. Desperacja Onej pokazuje bardzo wyraziście, że choroba jednego człowieka jest tak naprawdę chorobą całego domu.

Klemm nie stawia się tu w pozycji tego, który chce pokazać „jak jest” w rodzinach dotkniętych depresją w sposób wyjaśniający i obiektywizujący, raczej stara się postawić nas przed chaosem takiej sytuacji z całym jej skomplikowaniem i niejednoznacznością. Moim zdaniem dlatego zdecydował się historię o ludzkiej depresji zamotać w sceniczny chaos i bałagan. W innym wypadku taka ocena mogłaby być zarzutem wobec spektaklu, lecz tu – w mówieniu o sprawie delikatnej, drażliwej, dotyczącej samej istoty tego, co czasem niepewne, nie wiadomo, czy wymyślone i czy dzieje się „naprawdę”, jest to bardzo adekwatny i rewelacyjny pomysł. Powtórzenia scen, tekstów, zachowań, sytuacji, choć stają się męczące, unaoczniają, że zdarzają się sytuacje bez wyjścia, które mimo starań wszystkich w nie zaangażowanych mogą wyglądać tylko w ten jeden sposób. Są takie chwile, których nie można „zagrać” w inny sposób. Zamiast deklaracyjnego opowiadania o ludzkich stanach emocjonalnych reżyser obsuwa Ja w odrętwienie, bezruch, co może wydawać się nieteatralnym pomysłem, jednak ten kontrpunkt bardzo wyraźnie buduje nieprzeniknioną dwóch światów funkcjonujących równolegle w tej samej domowej rzeczywistości. Podczas gdy na scenie jest ruch, Ja jest z tego świata wyłączony. To, w czym znajduje uspokojenie, to koniugacja czasowników: monotonna, lecz regularna i przewidywalna. Tak różna od tego, co niesie rzeczywistość, także ta sceniczna. Nie na wszystkich jednak działa takie lekarstwo, inni wolą to, co oferuje dr Oetker.

Spektakl szczecińskiego Współczesnego to kolejna bardzo dobra propozycja z tego sezonu, ukazująca to, czym ten teatr może się pochwalić: ciekawymi, mądrze skonstruowanymi inscenizacjami i bardzo dobrym, sprawnym i zespołowym aktorstwem, co w tym konkretnym przypadku zaowocowało prawdziwie przejmującym (choć mającym pozory rozrywkowości) spektaklem o naszej współczesnej dżumie.

22-06-2016

### GALERIA ZDJĘĆ

#### MOJA MAMA LECZY SIĘ U DOKTORA OETKERA, REŻ. WOJTEK KLEMM, TEATR WSPÓŁCZESNY W SZCZECINIE



ZOBACZ WIĘCEJ



Teatr Współczesny w Szczecinie  
pilgrim / majewski  
**Moja mama leczy się u doktora Oetkera**  
reżyseria: Wojtek Klemm  
scenografia: Magdalena Gut  
ruch: Efrat Stempler  
muzyka: Albrecht Ziepert  
kostiumy: Julia Kornacka  
obsada: Maria Dąbrowska, Barbara Lewandowska, Arkadiusz Buszko, Robert Gondek, Michał Lewandowski, Jacek Piątkowski, Wojciech Sandach  
premiera: 28.05.2016

TAGI: Sebastian Majewski, Wojtek Klemm, Szczecin, Teatr Współczesny,

Udostępnij

### SKOMENTUJ

Autor  lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

jeden razy osiem jako liczbę: 

KOMENTARZE ( 0 )

### POWIĄZANE TEATRY



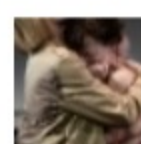
Teatr Współczesny

### PRZECZYTAJ TEŻ

Nadesłane  
Apel Społecznych Rad Kultury do Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Henryk Mazurkiewicz  
Problema? No problemo!



Piotr Dobrowolski  
(Nie)widzialna, (nie)widzialny, (nie)widzialne



Anna Jazgarska  
„W imieniu tych, którzy nie mogą znaleźć miejsca”



Anna Jazgarska  
Kosmiczny chichot



Henryk Mazurkiewicz  
Bramy naszych ekranów

### KALENDARIUM

26  
IV  
2024  
Łódzkie Spotkania Baletowe  
XXVII edycja

### BĄDŹ NA BIEŻĄCO

